

Czerwiec Paweł

Prawdziwa opowieść o prawdziwym Harnasiu

Z „Science Fiction”

Kwoka i Buhaj, dwaj podróżnicy, których raczej nikt nie nazwałby „ludźmi z towarzystwa”, wplątawszy się w aferę z uprowadzoną księżniczką, tkwią nadal w jej gąszczu. Porwani wydarzeniami zdobyli przyjaźń Baby Jagi, wrogość dwóch zbójów oraz rycerskie ostrogi. Wszystko mogłoby układać się pięknie, gdyby nie to, że jeden z nich, dodatkowo plącząc wątki, wpadł w sidła miłości.

1.

Noc była mroźna a gwiazdzista, jasna, piękna! Jakby zupełnie nie spodziewała się straszego świtu, który miał zakończyć jej panowanie. Po całych górach gadali już ludzie, że Jaśniepan złapał Harnasia przez głupią zawiść baby, co to chciała mieć bohatera tylko dla siebie. Po całych górach gadali też, że Harnaś, osadzony w loszku, już na śmierć czeka. Wiatr niósł tę wieść po halach i płacz rozlegał się po chałupach. Dzielne psy pasterskie zanosily się żałobnym wyciem, chudoba próżno starała się zasnąć, a nawet i zwierzyna leśna spoglądała na świat jakoś inaczej, jakby smętniej i żałośniej.

A w lochu, mrocznym i zimnym, siedział Harnaś zakuty w łańcuchy, czekając na śmierć o poranku, była to bowiem ostatnia jego noc na świecie. Nie czekał sam. Za kratami tkwili i inni rozbójnicy, a nawet zwyczajne rzezimieszki. Ci drudzy śmiali się z Harnasia, pokpiwali z niego, że taki wielki i mądry, a babie dał się oszukać.

Siedziało w lochu i dwóch zbójników z harnasiowej gromady. Jeden z nich był wielki, prawie jak Harnaś, i kudłaty. A drugi mały, chudy, z chytrymi oczami. Złościło ich okrutnie przygadywanie rabusiów.

– Wy mi tu nie widziwojcie, psubraty! – zeźlił się ten wielki. – Bo jakby Harnaś kciał, toby wam jescce gnaty połamał, o!

Tamci roześmiali się tylko i zapytali, jak to możliwe, że niby taki wielki i silny Harnaś, a w lochu z nimi siedzi.

– Bo to bez babe! – zawołał zapalczywie mały zbójnik. – Baba go ku zgubie zwiodła, jak nas syćkich zwodzi! I nie śmiejecie się z nasego Harnasia, bo z samych siebie się śmiejecie! Jak i on, i my gardła dacie, a niejeden z was, psichsynów, tez tu bez babe trafił!

– A jakze to? – zdumiała się rzezimieszki.

– A bo to ilu was zdybali, jakeście do baby sli? A ilu się za zbójnikowanie wzięło, bo chciało babie korale kupić, a?

Zamilkli na moment źli rabusie, popatrzyli po sobie i niechętnie, bo niechętnie, ale przyznali rację małemu zbójnikowi. Zaraz też zaczęła się rozmowa o tym, jak to baby musiał sam Zły stworzyć, na pohybel uczciwym ludziom. I poniósł się z loszku lament na złość niewieścią i popłynął przez wieś, przez hale, ku zamkowi i miasteczku w dolinie. A która śpiąca kobieta go wtedy usłyszała, zaraz ją zmora senna dopadła i dusiła aż do samego rana.

– A nie gadojcieś tak! – odezwał się na to Harnaś. – Nic nie som baby winne, samiśmy zbójami zostali i los sobie sami wybrali.

Harnaś był bowiem sprawiedliwy i nikogo nie dał ukrzywdzić bez potrzeby. Zaraz się też pomiarkowali zbójce, zwłaszcza ci dwaj zbójnicy, którzy najwyraźniej mieli z Harnasiem coś więcej wspólnego niż tylko loszek.

– Ech, Harnasiu nas najmilejsy, zbójniku nad zbójnikami, co se myśle, to se myśle, ale tak mi jakoś jednak taka myśl głupia po głowie chodzi i nijak odegnać jej nie mogę... – odezwał się prędko, choć zagmatwanie, mały i chudy.

– A to ja ci chętnie pomogę! – zaofiarował się równie szybko jego potężnie zbudowany sąsiad.
– A bo ty byś ino prał! – zdenerwował się chudy. – A ja tu dumaniem się zajmuję! Ty to nawet nie wiesz, co to znaczy, obwiesiu jeden, łajzo doliniasta...
– Ja łajza? – obruszył się wielki. – I to doliniasta! Oj, łodscekas, owcy kochanku, łodscekas!
– Ja łodscekam? – zaperzył się maluch. – Nic nie łodscekam! Ty ześ może jest niedźwiedź, ale ja jezdem ryś! Ja ci dam!

Skoczyli na siebie. Zaraz też wszyscy prawie więźniowie zaczęli zakładać się między sobą, który którego zabije, przy czym mało kto dawał jakiegokolwiek szansę chudemu. Tymczasem uchylał się on zwinnie i unikał ciosów olbrzymiego przeciwnika, kopiąc go przy tym po kostkach i okładając pięściami. Ponieważ nie wyglądało na to, by jego starania przynosiły jakikolwiek efekt, kibice zrozumieli szybko, że nikt w tym pojedynku nie odda ducha. Dały się zaraz słyszeć pełne potępienia okrzyki, z których część poddawała w wątpliwość najlepsze zbójnickie cechy walczących.

Jedynym, który nie poświęcił walce choćby spojrzenia, był Harnaś. Znał on na tyle swych kompanów, by wiedzieć, że nie biją się i nie kłócą jedynie przez sen, a i to nie zawsze. A przy tym Harnaś, jak na wodza zbójników przystało, zdawał sobie sprawę z czegoś więcej. Czekał więc cierpliwie, aż onieśmielony strażnik, na którego przypadło tej nocy pilnowanie lochu, podejdzie do niego dzwoniąc pękiem kluczy.

– No, godojcies – postanowił dodać mu otuchy Harnaś. – Psecie widzem, że się do gadania zbieracie, ino wam dusa drzy. A nie bójcie się, ja do was nic nie mam. Robote swojom robicie, jako i ja swojom robitek, hej!

– Bo widzicie, zacny Harnasiu, ja wiem, że dobry z was człowiek – odezwał się strażnik drżącym głosem.

– I chętnie bym was nawet wypuścił, tylko że mnie by potem ubili...

– A nie godojcies po próznicy, bo cas płynie jako bystry strumień i ani się nie obacymy, a już ranek będzie i wiesać mnie psyjdom, hej! Zeknijcie, co wam na sercu leży!

– Ech, panie Harnaś, niedola mnie spotkała! – westchnął strażnik, wznosząc oczy ku niebu, a właściwie ku czarnemu sklepieniu lochów. Odpowiedziało mu stamtąd pytające spojrzenie czyichś niewielkich oczu. Aż się wzdrygnął. – Córka moja, ledwie szesnastoletnia, wyrosła piękna nad podziw, najpiękniejsza w całej okolicy!

– A to prawdziwe niescynście was spotkało! – Pokiwał głową Harnaś. – Takim to ino igrce w głowie! Pewnikiem posła za zbójnikami, hej?

– A żeby tam ze zbójnikami! – Machnął ręką strażnik. – To ja bym wiedział, że na zmarnowanie nie idzie! Ale ją Jaśniepan sobie upatrzył. I dziś właśnie jego hajducy porwali dziewczynę i na jaśniepański zamek zaciągnęli. I teraz zmrok idzie, pan bawić się z gośćmi kończy i lada chwila do łożnicy ruszy, by córkę moją pohańbić!

– Ejze! – zawołał Harnaś. – Nie może to być!

– Ano może. Pohańbi córuchnę moją, już ja go znam!

– Nie może to być, zebyk ja na takie hańbienie pozwolił! – wyjaśnił Harnaś. – Ej, zebyk to ja w losku nie siedział! To my by z Jaśniepanem potańcowali, hej!

– Toteż, łaskawy panie Harnasiu, ja po prośbie do was przyszedłem – odezwał się szybko strażnik. – Ja bym wam do nóg upadł i o pomoc prosił. Ja bym was, Harnasiu, z lochu wypuścił pod słowem. I ciupagę waszą, i pas, i koszulę bym wam dał. Tylko na tę jedną, ostatnią waszą noc.

Jego słowa zabrzmiały nieco mocniej, niż sam by chciał, i nagle zdał sobie sprawę, że gwar w celach ucichł, że zbójnicy przestali się bić i przzerwali nawet kłótnie, i że patrzy na niego kilkanaście par przekrwionych rozbójniczych i jeszcze dwie pary bystrych zbójnickich oczu.

Wszystko to sprawiło, że poczuł się ciut niepewnie.

– Jeno byście mi obiecać musieli, że potem do celi wrócicie – dokończył cicho. – Inaczej cała sprawa na nic. Bo gdzie ja się z córką podzieję? A żonę jeszcze mam...

Tu urwał, jakby wspomnienie żony budziło w nim nawet większe obawy niż potencjalny gniew Jaśniepana.

– Głupi jakiś – wyraził zdanie większości zgromadzonych chudy zbójnik.

– Cyli ze tak dumacie: wy mnie puściecie, oddacie ciupazecke, kusuline i pas, a wasom córe z łap Jaśniepana ocale i do lochu wróce? – powtórzył powoli Harnaś, jakby coś obliczał w głowie.

Strażnik przytaknął gorliwie.

– No psecie godom, że głupi jakiś! – zachichotał chudy, jednak jego śmiech przerwał szybki i zadany jakby od niechcienia cios grubego zbójnika.

– A milc, jak Harnaś дума! – warknął. – Godołek ci juz!

– Tak będzie! – oznajmił Harnaś. – Mas Słowo Honoru Harnasia! Psysiengam ci, ze ucynie syćko, coby

Jaśniepan ci córy nie pohańbił, a kiej to ucynie, wróce do loszku i nałozę łańcuchy, hej!

Ledwie skończył mówić, zerwał z siebie łańcuchy i kopnięciem wywalił kratę.

– Łolaboga! – zawołał strażnik, chwytając się za głowę. – Pocoście to, Harnasiu, zrobili! Dyc ja mam klucze! A teraz trzeba będzie wytłumaczyć zniszczenia!

– Kraty łamać, zbójnicka zec! – odpowiedział na to Harnaś. – Nie bedzie mnie nikt wypuscał, to nie po harnasiowemu, hej!

– Dobre! – zarechotał najstarszy z uwięzionych zbójców. – To teraz ubij psubrata i wypuść nas, Harnasiu!

– Słowo zek dał – odrzekł mu Harnaś, kończąc wszelkie dyskusje.

A potem pochylił się nad struchlałym ze strachu strażnikiem i grzecznie poprosił go o koszulę, pas i ciupagę.

2.

Dwa konie kryły się wśród drzew rosnących nieopodal zamkowych murów. Jeden był czarny jak sama noc, drugi zaś płowiejąco-pstrokaty jak prawie nic innego na świecie. Oba zaopatrzone dodatkowo w sznury przywiązane do siodeł. Czarnemu owa dodatkowa ozdoba nie przeszkadzała zupełnie, przyzwyczał się już do fantazji swego pana. Pstrokaty natomiast cieszył się z nocnych wydarzeń niepomernie. Nareszcie działo się coś, co przypominało mu dawne, rycerskie czasy i powołanie. Zaczęły czekać na znak, by ruszyć przed siebie i ciągnąc liny, pomóc swym właścicielom wspiąć się na mury. Ingerencji straży nie obawiały się zupełnie, przyszli zdobywcy zamku zadbali o to, by żaden patrol nie zabłąkał się w tę okolicę.

Dlatego tak zaskoczył je ten wielki mężczyzna, który wyłonił się z mroku, podszedł do nich bezszelestnie i niespodziewanie poklepał po zadach, szepcząc coś o „piknych konikach”.

Przestraszone zareagowały jak należy – czmychnęły.

– Heeeeeeeeeeej, jeszcze nie! – rozległ się głos spod murów.

– I nie tak szybko! – dołączył do niego drugi.

Harnaś, który do tej pory dziwił się bardzo brakiem jakichkolwiek straży wokół zamku, zrozumiał teraz, że nie sam będzie tej nocy skradał się po zamkowych korytarzach.

Nawet spodobała mu się ta myśl.

Uśmiechnął się pod orlim nosem, podbiegł do murów i kilkoma susami wspiął się na nie, mijając bezszelestnie po drodze właścicieli spłoszonych koni. Jeden z nich wisił głową w dół i kłął, na czym świat stoi. Że jednak nie brakowało mu doświadczenia w nocnych wypadach, czynił to niemal bezgłośnie. Pomagający mu przyjąć właściwą pozycję potężnie zbudowany kompan zamarł niespodziewanie.

– Widziałeś coś? – szepnął.

– Wszystko! – zapewnił go wściekle dyndający na nietoperzy wzór współnik. – I to do góry nogami!

– Jakby coś przeszło... Jakiś cień...

Skryty w ciemnościach Harnaś, który swoim zwyczajem przemknął obok tamtych dwóch niemal niezauważenie, uśmiechnął się tylko i pognął dalej. Przebiegł przez dziedziniec zamkowy, mimochodem pozbawiając przytomności i odciągając w cień murów siedmiu wartowników. Teraz dopiero się zawahał. Gdzie znajdowała się sypialnia Jaśniepana, wiedział doskonale, niejedną brankę już wybawiał z jego rąk. Pytanie brzmiało jednak – czy na zamku przebywa obecnie jaśniepańska żona, czy nie? Zwykle lubiła wyjeżdżać demonstracyjnie do rodziców, istniało jednak ryzyko, że tym razem, specjalnie na harnasiową egzekucję, została. A gdy pomieszkiwała na jaśniepańskim zamku, z konsekwentną złośliwością spędzała noce w jaśniepańskiej sypialni, przez co jej małżonek musiał wysilać koncept, ilekroć przychodziło mu do głowy skorzystać z uroków sprowadzanych dziewczek. Ponieważ zaś był to człowiek leniwy, uznał za stosowne wysilić ów koncept tylko raz, dobudowując w jednym z zamkowych skrzydeł bardzo tajną, a przy tym nadzwyczaj wygodną, dodatkową sypialnię.

Harnaś pożałował przez moment, że ogłuszył wszystkich wartowników na tyle skutecznie, by żaden nie mógł mu zdradzić, czy Jaśniepani spędza tę noc w zamku, czy u rodziców.

Jego troska trwała mniej więcej tyle, co jaśniepańska miłość do małżonki. Może ciut dłużej.

– Ejze, dyc to nie ostatnie jaśniepańskie hajduki na zamku, hej! – dodał sobie otuchy i pognął zasięgnąć języka.

Ledwie opuścił dziedziniec, zjawili się na nim dwaj inni nieproszeni goście.

– Ani pół wartownika – warknął ten większy. – Nie podoba mi się.

– Ja wiem, co ci się jeszcze bardziej nie spodoba – mruknął ponuro jego towarzysz. – Wszystkie połówki

wartowników leżą pod tamtym murem.

Wiedzeni raczej przyzwyczajeniem niż potrzebą, podkradli się do zgromadzenia nieprzytomnych na służbie, by zbadać ich i zasępić się jeszcze bardziej.

– Fachowa robota – ocenił wyższy. – Ledwo co ich pousypiali.

– Żesz. Ktoś tu jeszcze łązi. Ciekawe po co?

– Ja wiem po co. – Iskry, które poszły od zgrzytnięcia zębami towarzyszącego tym słowom, oświetliły na moment cały dziedziniec. – Jest tylko jedna rzecz, która mogła zwabić fachowców na to zadupie.

– My? Ale to bez sensu! Po co nas szukać...

– A tam, my! Błękitna!

– Olianna, córka Irlenda Czerwonego? – upewnił się znużonym głosem niewysoki – Buhaj, bracie, kto by tu, oprócz nas, laźł za spódniczką...

– Uważasz, że niegodna? – odezwał się Buhaj głosem spokojnym jak lodowiec na sekundę przed runięciem ze szczytów. – Że nikt by tu za nią nie szedł, bo to brzydula?

Kwoka rozważył możliwości. Jak dziewczyna wyglądała, nie potrafił sobie przypomnieć, kusiło go jednak, żeby odruchowo nie zgodzić się z przyjacielem. Z drugiej strony, jakaś rozsądna część jego osobowości podpowiadała mu, że awantura w środku nocy, w zamku, który postanowili po cichutku obrabować, nie należy do najlepszych pomysłów. Sam się sobie dziwiąc, powiedział:

– Gdzie tam, jestem pewien, że razem z nami szturmuje to zamczysko cała chorągiew zalotników...

Gdybyż jeszcze Buhaj nie odczytał jego intencji po swojemu!

Dziwne odgłosy z dziedzińca nie uszły uwagi Harnasia. Wyjaśnienie ich pochodzenia postanowił jednak zostawić na później, a to z tej przyczyny, że właśnie kończył proces cichego zakradania się do izby hajduków. Skoczył pomiędzy grających w karty przy nikłym świetle świecy. Jak przystało prawemu zbójnikowi, uprzedził ofiary ostrzegawczym okrzykiem.

Raz-dwa i było po wszystkim. Hajdacy leżeli bez przytomności porozrzucani po podłodze. Jeden tylko dyndał na końcu wyprostowanej harnasiowej ręki, bardzo starając się wyglądać niewinnie.

– Jest Jaśniepani na zamku? – zapytał Harnaś, jak to on tylko potrafił, równocześnie groźnie i uprzejmie.

Hajduk, którego wcale nie zaskoczyło, że Harnaś jakby nigdy nic wyszedł z lochu, słysząc te słowa, zdumiał się niepomiarnie.

– Ale Harnasiu, przecie ona stara i gruba! – zawołał. – Jak chcesz, to ci swoją babę podeślę, niewiele od Jaśniepani lepsza, ale...

– Jest na zamku czy nie? – zmarszczył groźnie brwi Harnaś, a były to brwi, że ho, ho!

– No jest – wydukał hajduk. – W łożnicy Jaśniepana, ale tej oficjalnej...

– Ano wim, hej! – skinął głową Harnaś¹ i czym prędzej, w miarę możliwości, jak to on, łagodnie, pozbawił przytomności i tego hajduka.

Gdy przechodził przez próg, jedną nogą będąc już na schodach², przyszło mu do głowy, że właściwie nigdy w swojej karierze nie spotkał Jaśniepani. I że może warto byłoby...

Strząsnął z siebie te myśli jak zmarzły śnieg. Tam, w łożnicy Jaśniepana, córka strażnika broniła się przed pohańbieniem, a jemu ciekawość mąciła szlachetne zamysły! Warknął coś nieprzystojnego na własny temat i ruszył bez chwili zwłoki na ratunek.

Noc przecie była jeszcze młoda. Zdaży i do Jaśniepani.

3.

– Tu też wszyscy pobici – ocenił posepnie Buhaj. – Znać rękę mistrza.

– Chyba mistrzów?

– Mistrza. Jeden był, umiem czytać ślady. A może znów się nie zgadzasz, co?

– Jak sobie chcesz. Tak czy owak, nie ma kogo spytać, gdzie śpi ta twoja niebieska.

– Błękitna.

– Jeden pies.

– Ty...!

4.

Kilkoma susami pokonał Harnaś schody, wskoczył we właściwy korytarz i cichutko podszedł pod drzwi tajnej jaśniepańskiej sypialni. Ostrożnie oparł dłoń na klamce i nacisnął lekko.

– Dokładnie tak, jak to sobie, panie, zaplanowaliście! – ucieszył się jaśniepański rządcą, kurdupłowaty i zadziorny.

Siedzący obok niego mężczyzna o wyglądzie lalusia skinął tylko głową, z trudem tłumiąc ziewanie.

– Jak zwykle – odezwał się znudzonym głosem. – Wszystko jak zwykle.

Westchnął.

– A ja was, panocku, chyba nie znam! – zainteresował się Harnaś, widząc, że wpadł w kolejną pułapkę za przyczyną kobiety. – Wyście tu chyba nowi?

– Milcz, zbójcu! – zaperzył się rządcą. – Bo z szlachetnym panem gadasz, ty... ty... ty zbójcu jeden!

Stojące w korytarzu – zwykle jedynie dla ozdoby – broje ożyły za plecami Harnasia. Pochyliły halabardy i powyjmowały miecze z pochew. Skierowawszy cały ten arsenał ostrymi końcami ku harnasiowemu plecom, zbliżyły się do zbójnika. Było to bardzo ostrożne zbliżanie się, poukrywani w zbrojach hajducy dobrze wiedzieli, na co stać ich ofiarę.

– Ależ rzeczywiście! Wypada, bym się przedstawił. – Lalus uniósł delikatną dłoń i uśmiechnął się, na wszelki wypadek bardzo delikatnie, jakby wyraźniejszy uśmiech mógł zaburzyć jego równowagę wewnętrzną. – Mości zbójniku, jestem Errylian di Crognyc, hrabia Dikonutti i Bomridii. Racz uznać za zaszczyt, że schwytałem cię tej nocy, choć, przyznać muszę, mej kuzynki słabość do romantycznych historii też miała w tym swój udział.

Co sobie na te słowa Harnaś pomyślał, to sobie pomyślał. I trzeba przyznać, że zabrało mu to trochę czasu.

– Tyle z tego rozumiem, że to wyście mnie uchwycili! – odparł wreszcie i ku radości hrabiego ukłonił się nawet. – Cyli ze osukał mnie strażnik i nijakiej córki ni ma?

– A chciałbyś, prostaku jeden! – zaniósł się rechotem rządcą. – A jest, jest! I zaraz ją Jaśniepan swoją osobistą osobą zaszczyt! A najpierw my cię mu pokażemy!

– A, to dobrze, że jest – odetchnął z ulgą Harnaś. – To teraz mnie do niego poprowadźcie.

– Nie tak szybko, bratku! – Rządcą zarechotał po swojemu. – Najpierw to my cię z powrotem skujemy, żebyś nam rabanu nie narobił! Już ja cię znam!

Zakutym w broje hajdukom użyć łańcuchów było nieco trudno, hrabia zaś się do takiej roboty wyraźnie nie palił. Klnąc więc i pojękując, rządcą zajął się całą sprawą sam, co zajęło mu trochę czasu. Gdy wreszcie skończył, przyjrzał się swemu dziełu z satysfakcją i zawołał:

– No, bratku, z tego to ty mi już się nie wywiniesz!

– Ano nie – zgodził się pogodnie Harnaś. – Cemu bym miał?

Ruszyli ku gabinetowi Jaśniepana, w którym ów czekał na nich już całkiem zniecierpliwiony. W drodze rządcą starał się zabawić to hrabiego, to Harnasia rozmową, ale że jeden w odpowiedzi tylko ziewał, drugi zaś denerwująco uśmiechał się pod orlim nosem, pogiębiony rządcą zamilkł wreszcie i tylko łypał złowrogo. Ale wyłącznie na Harnasia.

Dotarli wreszcie do gabinetu, co nie było wcale takie proste, zważywszy, że hajducy starali się cały czas ściśle otaczać więźnia. Korytarze zamkowe nie należały niestety do szerokich, toteż ciężko im się było pomieścić.

– Ileż można czekać! – powitał ich w efekcie z typową dla siebie życzliwością Jaśniepan, gdy nareszcie dotarli. – Dawajcie go tu, dawajcie!

Jaśniepan był mężczyzną w sile wieku i brzuszyska. Całe życie spędził, nie ruszając się ze swego zamku, by nie zaryzykować przeziębienia, a także by nie rzucać się w oczy możliwym potężniejszym od siebie. Ściągał podatki odpowiednio okrutne, by nikt nie oskarżył go o schlebianie tłuszczu, ale równocześnie odpowiednio rozsądne, by owej tłuszczu nie rozjuszyć. Cel swój osiągnął o tyle, że istotnie nikt prawie nie zwracał na niego uwagi i tylko kolejni Harnasiowie, stanowiący najwyraźniej przekleństwo jego rodu, przysparzali mu kłopotów.

W swojej karierze zdążył wysłać na hak już dwóch. Każdorazowo chwytał ich, gdy wracali od jakiejś Baški czy Maryny. Szli na śmierć dumnie i ginęli bez słowa, a po paru latach jakiś ich młodociany wielbiciel wracał w lekko zużytej koszuli, która dawno już powinna była zapomnieć, jak wygląda biały kolor, z tym samym pasem i tą samą ciupagą. Wszystko to osiągnęło wiek niedostępny zwykle przyrodzeniu, a jednak trwało na przekór czasowi i kpiąc ze starań całych pokoleń Jaśniepanów, trafiało nieodmiennie w ręce kolejnych Harnasiów. Jaśniepanu nieraz świtała krwawo rozpaczliwa myśl, że jedynie wyrznięcie wszystkich poddanych, łącznie z hajdukami i rządcą, mogłoby uchronić go przed tymi ciągłymi harnasiowymi powrotami. Doprowadzony do ostateczności rozważał nawet i tę możliwość, aż

przyszło mu do głowy, że wtedy pewnie sam zmieniłby się w Harnasia. Wyobraził sobie siebie ganiającego po graniach i uznał, że już lepiej, jak zaszczyt harnasiowania przypada innym.

– Bardzo wam, panie hrabio, dziękuję, żeś w łaskowości swojej i przemyślności przewidział, że ten łajdak czmychnie z lochu i przyjdzie dziewczkę ratować! – Skłonił się przed hrabią.

– Och, ludzie z gminu są tak przewidywali – westchnął smutno hrabia. – Nie mogło się stać inaczej.

– Swoją drogą, ten strażnik! – pokręcił głową Jaśniepan. – Żeby przez taką drobnostkę przekreślać tyle lat wiernej służby! A łajdak! Czeka go chłosta!

Oczy rządcy rozblęsty na te słowa. Lubił chłosty, o ile przytrafiały się komuś innemu.

– A ty, zbójnicki chwaście! – krzyknął na Harnasia Jaśniepan. – Ty ostatni raz poważyleś się podnieść na mnie rękę i spojrzenie!

– Dyc ja na Jaśniepana nie patse – uznał za stosowne sprostować Harnaś, jak zwykle prawdomówny.

Bo też, istotnie, całą uwagę kierował ku przybranej w błękitną suknię niewieście, która przypatrywała mu się z ciekawością z zacienionego kąta.

– Jaki bezczelny! – Jaśniepan aż się zachłusnął. – Czekaj ty, czekaj! Mój rządca już ci wybije z głowy ten tupet!

Kurdupel podkręcił wąsa. Hodował go z dumą i poświęceniem specjalnie na takie okazje. A że nie zdarzały mu się często, podkręcił go raz jeszcze.

– A wiedz i to, że kiedy ty będziesz cierpiał od bata, ja zażywać będę rozkoszy z ową dziewczką, którą ty daremnie przyszedłeś tu ratować!

To powiedziawszy, Jaśniepan wyszedł na tyle dumnie, na ile pozwalała mu tusza.

– Prawie mnie rozbawiłeś, Harnasiu – pożegnał się hrabia. Wyciągnął ku błękitnej damie uperfumowaną, chronioną jedwabną rękawiczką dłoń. – Kuzynko, pozwolisz ze mną?

Kobieta drgnęła i nie odrywając spojrzenia od zbójnika, pozwoliła się poprowadzić ku drzwiom. Nim je minęła, nachyliła się nad hrabią i coś mu szepnęła na ucho. Do uszu³ Harnasia dobiegły jeszcze słowa: „Kuzynie, sam jeden!... Bohater... Chwała... Mężczyzna...”

Bohater nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Czekaj, zmażę ci ten uśmieszek – wywarczał mu obietnicę rządca. – Odczekamy tylko, aż wielkopaństwo się oddalą, żeby ich uszu nie drażnić odgłosami tortur. Bo wrzeszczeć to ty pewnie nie będziesz. Chociaż kto wie? Przygotowałem na ten wieczór coś specjalnego dla ciebie, sprowadziłem to z dzikiego wschodu.

To mówiąc, wyciągnął spod stołu niewielką skrzyneczkę i zaczął wyjmować z niej kolejne narzędzia, z lubością opowiadając Harnasiowi, do czego każde służy.

Trochę czasu mu to zajęło, zwłaszcza że przeznaczenia większości z nich sam się musiał domyślać.

Przekłeci wschodni barbarzyńcy dołączyli wprawdzie do zestawu instrukcję, napisali ją jednak jakimiś dziwnymi kwadracikami i trójkącikami zaopatrzonymi w dziesiątki odnóży.

– A do czego służy to narzędzie, zbójniku – sapnął z satysfakcją, prezentując ostatni przyrząd – nie muszę ci chyba tłumaczyć!

Odłożył tajemnicze narzędzie na stół i zatarł ręce z uciechy.

– No, to teraz się zabawimy! – zarechotał triumfalnie.

I już, już miał się zabrać do rzeczy, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

5.

Kwoka i Buhaj przypatrywali się w milczeniu kucharzowi. Kocioł, w którym ów tkwił wbity głową w dół, dudnił jeszcze głucho jego rozpaczliwymi okrzykami. Nijak jednak nie dawało się z nich niczego zrozumieć.

– Przesadziłeś – ocenił wreszcie Kwoka. – Teraz ani jego, ani z niego nic nie wyciągniemy.

A przecież był to jedyny przytomny mieszkaniec zamku, jakiego udało im się dotąd odnaleźć.

– Spieszyłem się – bąknął Buhaj. – Może jakby go masłem nasmarować?

– To potrwa. Nie mamy czasu. Widzi mi się, że musimy dać sobie spokój z służbą i zawitać na pokoje.

O niczym innym Buhaj nie marzył. Tyle że wolałby zawitać do konkretnego pokoju. Ustalili to z Kwoką niedługo po tym, jak doszli do siebie po bijatyce, w jaką zmieniło się pasowanie Buhaja na rycerza⁴.

Siedzieli wtedy, obaj nieco oszołomieni, na zalanej słońcem polance i wyjaśniali sobie zawilości poprzedniego dnia. Do Kwoki docierało powoli, że jego kompanowi przytrafiła się na wyboistej drodze życia kobieta, która nie zwróciła na niego uwagi. Zrozumiał też, że na taką właśnie Buhaj czekał.

– Bo ja dla niej byłem nikt – mruczał posępnie Buhaj, po trosze do siebie, po trosze do przyjaciela. – Ale

teraz, kiedy ja już rycerz – potarł bolący jeszcze po pasowaniu nos – to ja już nie gmin, nie? Prawdę mówiąc, Buhaj nigdy nie miał wiele wspólnego z gminem. Chyba że akurat jakiś masakrował. Niemniej jednak wysoko urodzone osoby mogły nie zrozumieć, czym miałyby się różnić od całej reszty mijanego przez nie na co dzień tła.

– Bo jak jestem pasowany – kombinował dalej Buhaj – to mam prawa.

Kwoka przypomniał sobie, co mu opowiadał wiewiórczy rycerz na ten temat. Nie pamiętał wiele, większość dotyczyła pomagania tym, którzy sami sobie pomagać nie mogli, i wydawała się mocno niezgodna ze znaną Kwoce praktyką.

– Niewiasty ratować... – zaczął i w tym momencie, na całe szczęście, Buhaj przerwał mu radosnym okrzykiem.

– No! Tak jest! Uratuję ją po rycersku!

Buhajowi zdarzało się już nieraz ratować różne panie, toteż Kwoka miał niejakie pojęcie o jego strategii. Polegała zwykle na tym, że odpowiednio ucharakteryzowany Kwoka porywał jakąś pannicę, która wpadła w oko jego przyjacielowi. Buhaj ratował ją potem odpowiednio widowiskowo, a nim minęły dwa dni, z kolei Kwoka ratował Buhaja przed ożenkiem bądź krewnymi odratowanej.

– W zasadzie – rozpoczął ostrożnie – mnie teraz nie bardzo wypada ją porywać...

– Nie przed tobą! – Machnął lekceważąco ręką Buhaj. – Przed wymoczkowatym! Wpadnę do jej zamku, porwę ją, jak na rycerza przystało, a ona mnie... – tu się zawahał. – To znaczy ja ją... No, jakoś to będzie! Nie tracąc czasu na zbędne narady, wyruszyli w drogę, wypytując kogo się dało o Oliannę, córkę Irlenda Czerwonego. Dowiedziawszy się w ten sposób, że wraz z kuzynem pojechała odwiedzić jakiegoś ich krewnego rządzącego żelazną ręką niedalekimi górami, ochoczo skierowali się właśnie w tym kierunku. Niestety, ich wyprawa napotkała nieoczekiwane trudności, gdy w zamku krewnego błękitnej panny Buhaj wzbogacił garniec zupy kucharzem.

– Zrobimy tak – wymyślił Kwoka. – Pójdziemy po cichutku, ostrożnie.

– Jak nie my!

– Jak rycerze.

– Jeszcze nie widziałem takiego, co by cicho chodził...

– No to sam coś wymyśl!

Buhaj ani myślał próbować cokolwiek wymyślać. Doskonale wiedział, że ta część pracy należy do Kwoki. Poboczył się więc tylko, ponarzekał, aż wreszcie usiadł i potulnie wysłuchał założeń fortelu.

W efekcie chodzili z Kwoką od drzwi do drzwi, ostrożnie, jakby byli byle zamkowymi sługami, a nie dzielnymi rycerzami, i stukali w każde. Potem zaglądali, a jak nie znajdowali w pomieszczeniu błękitnej miłości Buhaja, przepaszali, że to niby pomyłka taka, i wędrowali dalej.

Szło im kiepsko, aż dotarli do pomieszczenia, w którym jakiś kurdupel popiskiwał wokół zakutego w łańcuchy olbrzyma.

Olbrzym uśmiechnął się do nich szczerze a serdecznie, natomiast kurdupel wręcz przeciwnie.

– To ja przepraszam – powiedział więc Kwoka i już miał się wycofać, kiedy wielka łapa Buhaja opadła mu na ramię i wepchnęła do środka.

– Czego? – Kurdupel aż podskoczył. – Ktoście?

– Była tu – oznajmił Buhaj, pociągając nosem. – Nie zapomnę tego zapachu do końca życia.

Ignorując kurdupla, przeszedł przez pokój do zacienionego kącika.

– Ciężko szukać śladów na drewnianych podłogach – poskarżył się.

– Mówcie, ktoście, albo was psami poszczuję! – zagroził kurdupel, wyraźnie poirytowany.

Kwoka wyszczerzył się do niego zachęcająco i – jak miał nadzieję – łagodnie.

– To pomyłka, wielmożny panie, myśmy drzwi pomylili – wyjaśnił odpowiednio uniżonym głosem. – I już sobie idziemy.

I może nawet już by sobie poszli, gdyby nie Harnaś, który, jak to on, pałał chęcią do bezinteresownej pomocy.

– A takiej niebiesciutkiej jako samo niebo sukacie? – domyślił się. – Była tu, ale posła z takim jednym.

– Wymoczkowatym? – Buhaj znalazł się przy nim jednym susem.

– Ano ni wim, cy on był wymocony, ale bardzo cysty to na pewno – odparł zbójnik po krótkim zastanowieniu. – I pachniał jak najświętsza boginka jodłowa, co to jom strojom baby na świontki...

– Taki, co to się o własny miecz potyka – wyjaśnił mu inaczej Buhaj.

– Jaki to tam miecz! – prychnął rozbawiony Harnaś. – Ino pałka taka, jarmarcna, coby sie ludziska dziwowali, malowane to-to...

– Ale jak przyjdzie co do czego, to ino śmiech – dokończył Buhaj.
Przyglądali się sobie chwilę, a uśmiechy rosły im tym bardziej, im więcej dostrzegali.
Natomiast kurdupel zaczął się denerwować. Kwoka spojrział na niego tylko i od razu rozpoznał objawy.
Lada moment padalec miał podnieść wrzask. Szybko i wprawnie zapobiegł więc zakłóceniu ciszy nocnej.
– Piknie wam dzinkuje, hej! – odezwał się na to Harnaś, bez trudu zrzucając z siebie łańcuchy. – Bo mi sie już upsyksyło to jego popiskiwanie. A praca psede mnom, hej!
– Czekaj! To tyś tak wszystkich strażników załatwił, co? – odgadł Buhaj.
– Ano ja, hej. Ino by mi peskadzali, a ja panienke musem ratować.
– Błękitną? – Buhaj zmarszczył groźnie brwi.
– E, dziezby tam! Córuchnę straznika z lochu, co to jom Jaśniepan wzioł na pohańbienie.
I w krótkiej balladzie wyjaśnił im Harnaś, po co przyszedł do zamku.
– Taki rycerz – podsumował Kwoka. – Bardzo ładnie. A o błękitnej coś wiesz? W której komnacie ją trzymają?
– Ja ni. Ale on pewnikiem tak. – Harnaś wskazał dochodzącego do siebie kurdupla. – On tu rządca, hej!
No, wybaccie, ale na mnie pora!
To powiedziawszy, wypadł na korytarz i tyle go widzieli.
Kwoka spojrział na gramolącego się z podłogi i mamroczącego coś pod nosem rządcę. Wyteżył słuch.
Było tam coś o wbijaniu na pal, patroszeniu, włóczeniu końmi i rozczłonkowywaniu. Wszystko to bardzo się Kwoce podobało i chętnie posłuchałby dłużej, niestety, brakowało im czasu. Chwytił więc tylko kurdupla za kark i tonem bardzo dalekim od harnasiowej grzeczności zapytał, czy wie, w której z komnat nocuje obiekt uczuć Buhaja. Otrzymałszy odpowiedź, z której wynikało, iż rządca nic zdradzać nie zamierza, uśmiechnął się radośnie i sięgnął ku narzędziom wyeksponowanym na stole.
W przeciwieństwie do rządcy znał każde z nich niemal po imieniu⁵.

6.

Są takie noce, kiedy rzeczy nie dzieją się tak, jak powinny. Buhaj i bardzo niezadowolony z postawy rządcy⁶ Kwoka przekonali się o tym, gdy we wskazanej komnacie oprócz błękitnej zastali wymoczką. Oboje siedzieli przy stoliczku, wyglądającym, jakby miał się załamać od ciężaru kartki papieru, i mówili coś w dziwnym obcym języku, przypominającym z lekka bulgotanie. Na wtargnięcie panna zareagowała krótkim „Och!”, wymoczek zaś wykonał pięć piruetów, mających być zapewne przeproszającymi ukłonami, po czym wstał i skierował się ku przybyzsom. Groźne w zamierzeniu zmarszczenie brwi wywołałoby u Buhaja atak śmiechu, gdyby miał ochotę poświęcać mu uwagę.

Buhaj jednakże patrzył jedynie na błękitną.

I bardzo mu się nie podobało, że ona wcale a wcale nie patrzy na niego.

– Tuszę, iż zmylili panowie drogę w tych ciemnych korytarzach – zagadał wymoczkowaty. – Chętnie też wskazałbym je wasz... wam... kimkolwiek, u licha, jesteście...

Przerwał.

– Zaraz. Was, panie, chyba znam?

Nim Buhaj zdążył przedstawić się po swojemu, Kwoka wybiegł przed niego i zawołał:

– To waleczny najczarniejszy z rycerzy, sługa Białej Wróżki z Borsuczej Kniei. Miano swe ukrywa, jako ślubował, i jeno herb swój może wam, panie, zdradzić.

– A jest nim?

– Buhaj!

Wymoczkowaty uśmiechnął się lekko.

– Nie wiedziałem, doprawdy, że z rycerzem mam do czynienia. Przysięgłbym, że widział już pana...

Najczarniejszego w zgoła nierycerskiej sytuacji, gdy miotał się w tłumie.

– Ach! – Coś na kształt przypomnienia wzbogaciło spojrzenie błękitnej.

– No – mruknął Buhaj, bo chciał się odezwać, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

– Rycerz ów czoła stawiał tłuszczy na cześć jejmość panny Olianny nastającej. Jeśli to nie jest rycerskie, to już, ku... nie wiem co by być mogło! – zawołał buńczucznie Kwoka, wyraźnie zdenerwowany po spotkaniu z rządcą.

– Zaiste – przyznał wymoczkowaty. – Jeśli tak się sprawy miały...

Tu przerwał, bo Buhaj szturchnął Kwokę.

– Czy jako rycerze nie powinniśmy mu przywalić, gdy twierdzi, że kłamie? – zapytał w zamierzeniu cicho. Niestety, nawet szeptu buhajowe miały w sobie coś z pomruku nadchodzącej burzy. Jakkolwiek

wymoczkowaty odebrał znakomite dworskie doświadczenie, pozwalające mu ignorować takie przypadki, stało się coś, co sprawiło, że nawet on na moment stracił pewność, jak zachować się dalej.

– Drogi kuzynie – niespodziewanie do dwornej rozmowy wtrąciła się błękitna. – Czy nie dostrzegasz, że to prostacy? Zabij ich, proszę, i wróćmy do naszych spraw.

Buhaj zachwiał się, blednąc nagle, zupełnie jak wtedy, gdy odkrył cenę atakowania z byka rycerza w pełnej zbroi. Jeszcze żadna kobieta nie potraktowała go w ten sposób.

– Jak to? – wymamrotał. – Toż ja... my... rycerz... godny...

Panna tylko prychnęła w odpowiedzi.

Kwoce przyszło do głowy, że są obrazy, które można zmazać jedynie krwią, są jednak i gorsze. Takie, które można tylko zignorować.

– Nic tu po nas, bracie – oświadczył tak dumnie i tak pełnym pogardy głosem, jak tylko umiał najlepiej.

Chwycił Buhaja za ramię i spróbował pociągnąć ku drzwiom.

Równie dobrze mógłby spróbować zapasów z górą.

Rycerskość parowała z Buhaja mało widowiskowo, ale skutecznie. Odezwały się w nim wspomnienia z dzieciństwa, z czasów, gdy dorastał na stepach, gdzie konie są największymi przyjaciółmi wojownika, zaś kobiety to... No cóż, kobiety.

Ruszył ku błękitnej, ciągnąc za sobą nieustającego w wysiłku podążania w przeciwnym kierunku Kwokę. Wymoczkowaty, widząc, co się dzieje, wyciągnął miecz.

Buhaj ignorował go do chwili, gdy ostrze oparło się o jego gardło. Spróbował odsunąć je niedbale, ale ani drgnęło.

– Nie przejdiesz – odezwał się wymoczek mało wymoczkowatym tonem.

Buhaj postanowił poświęcić mu chwilę uwagi.

– Jak chcesz – warknął.

Kwoka odsunął się na wszelki wypadek. To powinno zająć chwilę.

Zajął trzy. Potem cztery. Pięć, sześć, siedem...

Bardzo wiele chwil później Kwoka patrzył i nie wierzył własnym oczom. Lekki, przypominający zabawkę mieczyk wymoczkowatego śmigał ze zdumiewającą prędkością, co rusz dosięgając Buhajowego ciała. Jedynie swemu refleksowi zawdzięczał Buhaj fakt, że do tej pory udawało mu się unikać prawdziwie groźnych ran. Krwawił już jednak z niebezpiecznie wielu i wyraźnie tracił siły.

– Zdumiony jestem, doprawdy, jak wiele jest pan w stanie wytrzymać – deliberował tymczasem wymoczek, niezmiennie śliczny i pachnący. – Na me hrabstwo! Przysięgam, że nie spotkał jeszcze takiego przeciwnika! Gdybyż waści wyszkolić, to dopiero byłby bój!

– Kuzynie, jestem znudzona – przypomniawsza błękitna.

– Ach, prawda, tak szybko się nudzisz. Dobrze, kończmy to!

I Kwoka skończył, nim jego przyjacielowi stała się krzywda. Chwycił wyglądający na ciężki stołek i z rozmachem uderzył nim w tył wymoczkowatej głowy. Wymoczkowaty zdołał jeszcze odwrócić się i spojrzeć na Kwokę z wyrzutem, nim zalewając się krwią, upadł na podłogę.

Kwoce przyszło na myśl, że bardziej niż zdradziecki cios ma mu za złe pobrudzony fikuśny strój. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym, bo błękitna zaczęła krzyczeć.

Dopał do niej jednym susem i przerzucił sobie przez ramię.

– Wynosimy się stąd! – krzyknął na chwiejącego się na nogach, wyraźnie zdumionego Buhaja.

– Tylko się z nim bawiłem – jęknął ten bez przekonania. – Tylko się z nim...

Tym razem Kwoce udało się wyciągnąć go z komnaty bez trudu.

Błękitna wciąż irytująco piszczała, gdy zbiegali schodami, wydawało się jednak, że nikt nie zwracał na nią uwagi. Gdy dotarli na parter, Kwoka zrozumiał dlaczego.

Na dziedzińcu trwała bitwa. Nieprzeliczony tłum hajduków otaczał Harnasia, który bronić się musiał właściwie jedną ręką, drugą bowiem obejmował śliczną jak zimowy poranek nad Zbójnickim Stawem córkę strażnika z lochu. Być może przez to ograniczenie, a może za sprawą zdumiewającej liczby wrogów, walka szła mu ciężko. Część hajduków przyparła go do ściany samą tylko masą ciał, część zaś rzucała w Harnasia czym popadło.

– No, z tymi się bawić nie będę! – zawołał z satysfakcją Buhaj i rzucił się w największy tłum. Widząc, że Kwoka wybiera się za nim, powstrzymał go. Musiał się jakoś odegrać i chciał to zrobić sam.

Kwoka obserwował więc tylko z narastającą ulgą, jak Buhaj przeredza szeregi wroga. Na jego tle cichła błękitna.

– Sam jeden! – szeptała. – Sam przeciw wszystkim! Szlachetny i piękny!

– A widzisz! – sapnął usatysfakcjonowany. – Przekonałaś się wreszcie, że mój przyjaciel to nie byle kto...

– Znasz li go? – spytała.
– No jakże, przecież we dwóch, żeśmy...
Urwał i poświęcił chwilę, by spojrzeć na błękitną.
Ta nie odrywała wzroku od coraz mniej okrążonego Harnasia.

A kiedy było już po wszystkim i czarno przyodziany Buhaj i jaśniejący białą koszulą Harnaś podeszli do nich, objęci jak na towarzyszy walki przystało, Kwoka milczał.

– W samym porze żeście przyšli, hej! – wydyszał Harnaś. – Bo ni wim, co by to ze mną było, pewnie by mnie ubili! A co to za śmierć dla Harnasia, paść od hajduckich kozików! Harnaś na haku umzeć musi, hej! No i panne by Jaśniepanu oddali na pohańbienie. Wielce wam po harnasiowemu dzienkuje! Ukłonił się pięknie i chyba chciał coś jeszcze powiedzieć, ale coraz bardziej zdenerwowany Kwoka przerwał mu w pół słowa, zwracając uwagę, że dobrze byłoby opuścić zamek, zanim przybędą jakieś posiłki.

Pobiegli więc szybko ku miejscu, w którym powinny na Kwokę i Buhaja czekać konie. I rzeczywiście czekały. Stały grzecznie przywiązane do drzewa, a u ich kopyt leżeli nieprzytomni hajdacy. Co ciekawe, konie miały nadzwyczaj zakłopotane miny. Zwłaszcza łaciaty.

– Ej, pikne koniki, hej! – zawołał Harnaś. – Dzielne, hajduków pobiły!
Rumaki spojrzały po sobie. Czarny wyszczerzył się dumnie, natomiast łaciaty miał dość przyzwoitości, by spuścić wzrok.

– Dobra, na konie i znikamy stąd – zdecydował Kwoka. – Podrzucić was gdzieś, panie zbójnik?

– Ni, mnie do lochu pora! – odparł Harnaś, podając Buhajowi córkę strażnika.

Kwoka i Buhaj postali mu tylko zdumione spojrzenia. Za to błękitna zaczęła krzyczeć.

– Jakże to? Być tak nie może! Wyście teraz wolni, uchodzić wam trzeba! A ja was odnajdę, przysięgam, że odnajdę!

Buhaj przyglądał się trzymanej w rękach dziewczynie, a ona odwdzięczała mu się zachwyconym spojrzeniem. Gdy jednak usłyszał słowa błękitnej, popatrzył na nią.

– Ej! A ja...

– Cichajcie, panienko! – poparł go Harnaś. – Mnie umierać pora!

– Właściwie też tego nie rozumiem – zaciekawił się Kwoka. – A to czemu? Chory jesteś albo co?

– Ni. Jeno słowo zem dał.

– Ja was wyzwolę! – rozszlochała się błękitna – Wyciągnę z lochu! Mójżeś ty...

– Nie może to być! – odrzekł łagodnie Harnaś, pochylając się nad damą i gładząc ją po policzku. –

Choćbyś to nawet mogła uczynić. Jam Harnaś, ale Harnasiowi mus ginąć na haku! Coby to był za Harnaś, jakby na haku nie zginął, hej!

– Żywy? – zasugerował Kwoka.

– Nie Harnaś musi być żywy, ale jego... – Harnaś zawahał się, szukając słowa – harnasiowanie, hej!

Kazden jeden Harnaś ginie na haku, po zdradzie, a ludziska to widzom i płacom! A potem mija cas, mija rok i drugi i psychodzi młody juhas do domu carownic, co we tsy mieskajom pode Czarcim Kłem. I jak się nie ulęknie, on Harnasiem ostanie! Ale na to musi trwać gawenda zbójnicka. A żeby ona trwała, musi Harnaś na haku ginonć, hej!

Ani Kwoka, ani Buhaj, ani nawet błękitna nie odpowiedzieli już nic. Ona, bo rozszlochała się z żalu, że taki romantyczny mężczyzna, wręcz ucieleśnienie jej snów, wymyka się z rąk; oni, bo głupio im było wyzywać od durniów męznego zbójnika.

– No to my spadamy – bąknął wreszcie Kwoka. – A tobie, Harnasiu, życzymy powodzenia. Tego, hej. Harnaś uśmiechnął się w odpowiedzi, poprosił Buhaja, by ten córkę strażnika odprowadził do matuli, i jednym harnasiowym susem skoczył w ciemność.

7.

Jechali powoli w rytm dziewczęcych szlochów. Błękitna płakała za Harnasiem, a córka strażnika, bo ją Buhaj uparcie chciał odstawić do matki.

– Matula! – chlipała. – „Do matuli” powiedział! A żeby on ją kiedy widział albo słyszał. – Wzdrygnęła się.

Oddalili się od zamku na odległość sowiego krzyku, gdy Buhaj zatrzymał konia.

– Kwoka – odezwał się cicho. – Nie może tak być.

– Ano nie może – zgodził się Kwoka. – Ale bywa. Zginie dureń, choć mógłby gołymi rękami...

– A niech ginie! – warknął nadzwyczaj niezyczliwie Buhaj – Może jak on zginie, to ona mnie zachce, bo teraz nie chce!

Patrzyli na siebie we dwóch, a w tle milczały kobiety. Wreszcie Buhaj spuścił głowę.

– Ja mu źle nie życzę – powiedział tak cicho, jak jeszcze nigdy w życiu. – Walczyliśmy jeden przy drugim. Ale póki on będzie chodził po ziemi, błękitna nawet na mnie nie spojrzysz. Zobacz, Kwoka, zostaliśmy rycerzami i co z tego?

– Idiotka! – syknęła córka strażnika pod adresem błękitnej. – Ale właściwie to dobrze, żeś taka głupia, że go nie chcesz!

Błękitna nie odpowiedziała. Skupiała się na pełnym wzgardy milczeniu, które coraz trudniej przychodziło jej osiągnąć. Świat za murami zamków coraz bardziej ją zadziwiał. Nie to, że nauczyła się rozpoznawać twarze zwyczajnych ludzi – dla niej wszyscy byli tacy sami. Ale prawie zaczęli zasługiwać na jej uwagę.

– Buhaj – spróbował Kwoka. – Nie ma takiego chłopca na świecie, który nie spotkałby baby, co mu we łbie zamąci, ale nie będzie go chciała.

– Nie ja! – zaprotestował z odruchowym zawadiactwem Buhaj.

Kwoka westchnął w duchu. Do tej pory rzadko dopadały ich wydarzenia, z którymi nie mogliby sobie poradzić. Nie każdy kłopot można jednak rozwiązać mieczem.

Chwileczkę.

Może rzeczywiście nie każdy. Ale ten...

Obejrzał się na błękitną. Na jej śnieżnobiałą, łabędzią szyję.

Buhaj musiał być najlepszy i już. Najczarniejszy, najprzystojniejszy, najwredniejszy nawet. Jeżeli nie mógł mieć tej kobiety, to trzeba mu było wytłumaczyć, że jej nie ma, bo nie chce. A nie chce, bo jest naj... naj... najbardziej naiwny? Nie, to nie to słowo.

– Kochanie – zwrócił się do córki strażnika. – Jak właściwie masz na imię?

– Katka, panie. A nie oddawajcie mnie do matuli, ja z wami chcę!

– Cicho. Na razie tam nie pojedziemy. Wiesz, gdzie twierdza, w której Jaśniepan trzyma więźniów?

– Wiem, panie. Tylko nie zabierajcie mnie do mat...

– Och, zamknij się wreszcie! Prowadź do twierdzy!

– Do twierdzy? – zapytali równocześnie Buhaj i błękitna i zaraz spojrzeli po sobie zdziwieni tą niespodziewaną zgodnością.

– A tak – zawołał niemal wesoło Kwoka. – Bośmy rycerze! A co to znaczy? Żeśmy, kurwa, szlachetni! Najszlachetniejsi, nie?

8.

Wpadli do twierdzy jak wichry. Roztrącali wartowników wściekli i niepowstrzymani, aż dotarli do harnasiowego lochu, w którym zatrzymali się jak rażeni gromem.

Stało tam coś wielkiego, groźnego i wydzierającego się na stropionego strażnika.

– Matula! – chlipnęła z rezygnacją Katka. – Zawsze tak na tatusia krzyczysz, jak jej się coś nie spodoba. A wiele jej się nie podoba.

– A jesteś, Katka! – zauważyła matula. – Po nocach się włóczysz, zamiast matce w domu pomóc! Całkiem się w ojca wdałaś, niedojde! Najprostszej sprawy załatwić nie potrafi! Zbójnika skutego łańcuchami z lochu wypuszczą!

– Bo Jaśniepan... – bąknął stłamszony strażnik.

– Milcz! Bo co? Bo Jaśniepan ją chciał pohańbić? Wielkie mi co! Tyżeś ją na taką niezgułę wychował, że ją może pohańbić byle szlachetna łajza! Widział kto, żeby mnie ktoś kiedyś pohańbiał? Ale ja sobie w kaszę nie daję dmuchać, jak wy dwoje!

Kwoka i Buhaj wymienili spojrzenia. Obu przychodziły do głowy także i inne powody braku chętnych do pohańbienia matuli, jednak ze zdumiewającą dla nich rozważą postanowili je zachować dla siebie.

– My tu właściwie w innej sprawie – postanowił wytłumaczyć Kwoka, starając się wyminąć ostrożnie matulę. – My do Harnasia.

– Gdzie lezie? – Matuli wrzask omal nie urwał mu głowy. – Co to ma być, lochy czy gospoda?! No tak – zwróciła się do męża – ty byś pozwolił się tu każdemu pętać! Ile ja przez ciebie nerwów tracę, to tylko ja jedna wiem!

Kwoka rozejrzał się, spanikowany, w poszukiwaniu ratunku. Niestety, zbóje siedzieli w celach cicho jak trusie, strażnik tylko się kulił, Katka chlipała, a błękitna patrzyła na matulę z podziwem. Pozostawał tylko Buhaj. Kwoka uznał, że należy przypomnieć mu, że są szlachetni.

– A prawda! – sapnął Buhaj, któremu matula przypominała pewną ciotkę.

Podszedł do matuli, niemal dorównującej mu wzrostem, wyprostował się bardziej, by jednak móc spojrzeć na nią z góry.

– Jeszcze jeden obdartus! – Ujęła się pod boki. – Istne zbiegowisko niedorajd! Co, na żeby przyszedłeś? Już ja ci...

– Cicho, babiszcze! – wrzasnął na nią Buhaj, aż mury zadrżały. – Zawrzyj wreszcie te zamkowe wrota, bo ci tylko w tę i nazad latają, jak na wichurze, a pożytku z tego żadnego nie ma! Won stąd, gdzie wojownicy rozmawiają! Idź kobyłe mleko mieszać!

Matula zamilkła. Na przemian bladła i czerwieniała, starając się zebrać myśli. Jeszcze nie zdarzyło jej się w życiu, żeby ktoś przemówił do niej w ten sposób.

Zadowolony z efektu Buhaj zmarszczył groźnie brwi i wymierzył drugi słowny cios:

– Łazi taka jak pierwsza kwoka w kurniku, a jurta trzepie się na wietrze źle rozłożona! Żadnego z ciebie pożytku nie ma, nawet w jasyr nikt cię nie chciał brać! Won do kóz i to już, bo jak się wścieknę...!

Nie czmychnęła wprawdzie, jak się spodziewał, ale przysiadła pod ścianą, cały czas gapiąc się na niego szeroko rozwartymi oczami. Gorączkowo zastanawiała się, czym jest kobyłe mleko i do czego służą jurty. Buhaj potoczył dumnym spojrzeniem po zdumionym towarzystwie.

– Jak byłem mały, to wujek mówił tak do ciotki – wyjaśnił. – Wszystko pamiętam!

Wyprężył pierś i korzystając z otumanienia strażnika, zabrał mu klucze od cel. Otworzył wszystkie po kolei, na deser zostawiając sobie ostatnią, harnasiową.

– I już – oznajmił. – Wolnyś.

– Piknie wam dziękuję, ale ni kcem – pokręcił głową Harnaś. – Mnie umzeć na haku tseba, hej!

Buhaj skupił się, by przypomnieć sobie wszystko, co mu po drodze tłumaczył Kwoka.

– Nic z tego – rozpoczął powoli, starannie, jak recytację. – Nic z tego, bo jest tu dziewczyna, co cię kocha. Mnie ona wprawdzie była pisana, bo też i ja kocham ją jak życie. Ale nie stanę na drodze waszej miłości. Bo jestem szlachetny. Ty – odwrócił się ku błękitnej – idź z nim! Nie przeszkodzę wam. A jakby kto próbował...

Olianna, córka Irlenda Czerwonego, uśmiechnęła się promiennie i pobiegła ku Harnasiowi. Nagle jednak romantyzm gestu Buhaja dopadł ją w pół kroku. Spojrzała na niego i jakby ujrzała go po raz pierwszy.

Złota iskierka zabłysła w jej oczach, a usta ułożyły się w wyznanie na krawędzi miłości.

Buhaj jednak, kiedy już wbił sobie coś do głowy, był tyleż nieprzejednany, co niecierpliwy. Pchnął ją prosto na zakutego w łańcuchy Harnasia. Przypomniawszy sobie jeszcze ostatnią instrukcję Kwoki.

– O mnie więcej nie myśl! – zawołał dramatycznie i odwrócił się, uśmiechając szeroko.

Kwoka mrugnął do niego.

– Ale ja muszę na haku... – szepnął słabo Harnaś, gdy Olianna tuliła się do niego czule, zapisując przy tym w sercu osobne miejsce dla tego czarnego olbrzyma, którego imię jakoś jej umknęło. – Jak Harnaś... Kwoka zamarł. Ten szlachetny jak, nie przymierzając, wiewiórkowy rycerz dureń gotów był wszystko popsuć.

I jakby na zamówienie, Harnaś wypowiedział magiczne słowa:

– Nie godzi się...

Osobą, która stanęła na wysokości zadania, okazała się Katka.

Nie miała innego wyjścia. Pozbawiona Harnasia Olianna mogłaby paść w ramiona Buhaja. A coś podpowiadało dziewczynie, że nie opierałby się on długo.

– Toś ty taki? – zawołała na Harnasia, ujmując się pod boki. – Dziewczynę samą zostawisz? Taki z ciebie Harnaś?

– Ale – jęknął Harnaś – przecie gawenda...

– Gawęda? A znasz ty gawędę, w której cokolwiek byłoby od miłości silniejsze?

– No, nie znam.

– No! Zrywaj łańcuchy, bierz dziewczynę i bądź szczęśliwy!

– A gawenda?

– A gawędę się opowie tak, żeby dobrze było!

– Ano – Harnaś podrapał się niepewnie po głowie. – Prawda, że miłowanie... hej? Jeno jak ja teraz do zbójnikowania wrócę?

– Nie wrócisz, miły – odezwała się Olianna. – Mam ja zamek w dalekich górach. Siła tam strasznych zbójów, biednych ludzi męczących, pomocy im twojej, potężnej potrzeba!

– Skoro tak – rozpogodził się Harnaś – to hej!

I pozrywał łańcuchy.

Kwoka odetchnął z ulgą.

– Spadamy, Buhaj! – zarządził.

Bardzo z siebie dumny, najszlachetniejszy ze wszystkich rycerzy pod słońcem, Buhaj skinął tylko głową i ruszył ku wyjściu.

– Chwileczkę, panowie! – zawołał strażnik. – A co teraz będzie ze mną? Harnaś uciekł, wszystkich zbójów żeście powypuszczali! Jaśniepan ze mnie pasy drzeć będzie!

– Nic ci nie grozi! – odezwał się potężny, lekko zaokrąglony zbójnik, wyręczając Kwokę. – Pódziesz z nami, zbójnikiem ostanies i ty bedzies pasy z panów dzeć! Hej!

– Ano hej – zgodził się strażnik, nie widząc innego wyjścia.

9.

Dzień wstawał nad pełnym obolałych mieszkańców zamkiem, nad traktem, którym odjechali Harnaś i Olianna, i drugim, którym Kwoka i Buhaj w towarzystwie upartej Katki zmierzali ku zamkowi maga Vidoczka.

I nad górami wstawał. A tam, na hali, siedział strażnik i dwóch zbójników. Jeden z nich był mały i chudy, drugi zaś wielki i gruby.

– Pikna historia, hej! – westchnął duży i otarł łzę z oka, był bowiem człowiekiem bardzo wrażliwym.

– Ano, pikna, pikna! – denerwował się mniejszy. – Bardzo pikna! Tylkośmy bez Harnasia zostali!

Ciekawym, kto teraz Harnasiem zostanie? Bo psecie nie ty!

– A kto? – zaperzył się duży. – Moze ty?

– Moze ja, moze nie ja... Harnaś to musi być strasny w bitwie. A ja jestem ryś!

– Ale głupi być nie może! A ty jesteś bałwan!

– Bałwan? Ja? Ja jestem ryś, mówiem ci pseciez!

– Harnaś – oznajmił głosem, jakim opowiada się baśnie o dobrych królach, duży zbójnik – to musi być wielki ktoś. Taki, żeby się go bali, ale żeby go sanowali. Zeby mores miał. Zeby ino głosem potrafił ludzi za pysk tsymać!

Zamilkli, zastanawiając się, skąd kogoś takiego wziąć.

Myśleli chwil kilka i już, już mieli jakiś pomysł⁷, kiedy przerwały im czyjeś ciężkie kroki i wściekłe powarkiwanie:

– Jaką trzeba być łajzą, żeby wszystkich więźniów wypuścić, a żonę w lochu zostawić! Takiś ty? Czekaaj, rozwaliłam łby tym wszystkim hajdukom, co przyszli Harnasia szukać, rozwałę i tobie! Oj, zrobię ja już porządek w tych górach!

¹ A była to głowa, że ho, ho!

² Bo takie to były nogi, że ho, ho!

³ Naturalnie, uszy też miał Harnaś, że ho, ho!

⁴ Patrz odcinek o prawdziwych rycerzach (ho, ho)

⁵ Z niektórymi z nich zdarzało mu się nawet chodzić na piwo. Karczmarze zdumiewająco ochoczo i gościnnie odmawiali mu wtedy przyjmowania zapłaty.

⁶ Wyśpiewał wszystko, ledwie zobaczył narzędzia, i przypomniał sobie własne wyobrażenie na temat tego, do czego służą.

⁷ Każdy inny oczywiście.